

Hulme przyśnił mi się wczoraj. Był taki, jakim go zapamiętałam: nienaturalnie błękitny odcień skóry, oczy patrzące gdzieś ponad albo poza tobą, chuda, skurczona sylwetka - bardziej przypominał owada niż istotę ludzką. Obcy.

Najdziwniejszy punkt mojego dzieciństwa: pojawił się nagle, nie wiadomo skąd, a potem zniknął jak kometę z innego układu planetarnego, przemierzająca kosmos w bezcelowej włóczędze.

To on doprowadził nas do Błękitnego Miasta (Błękitne Miasto to kolejna zagadka, jakby Wszechświat nie miał ich wystarczająco wiele bez niego).

Co było początkiem tej historii? Moment zanurzenia w Nautilusie - ja w nim, jego ciało otoczyło moje, szalony lot przez gwiazdy, czy wcześniej: spotkanie Hulmego albo mój przylot na stację?

Lubię sobie wyobrażać, że korzenie tej sprawy sięgają głębiej, może nawet do Osobliwości Początkowej lub poza nią, jeśli istnieje jakieś „poza”. Najpierw Idea stała się Bytem, zaistniał Wszechświat, w którym możliwe było pojawienie się ludzkości, Stacji Kosmicznej Euros, ciotki Moniki, Agnieszki, Hulmego i mnie. Tak nie musiało być: gdyby na początku powstało tyle samo antymaterii co materii, gdyby epoka neolitu zaczęła się tysiąc lat później, wszystko wyglądałoby inaczej. Czy więc moje życie to dzieło przypadku? Czy w historii świata ukryto sprytnie jakiś Plan przez duże „P”? A jeśli przypadek to część Planu i sam Autor, jeżeli istnieje, dziwi się temu, co widzi?

Nie mam pojęcia.

Krążę wokół planety wielkości Marsa, planety - samotnika: nie okrąża żadnej gwiazdy i trudno ją znaleźć, przemierza Galaktykę, wyrzucona dawno temu ze swojej orbity. Powinna na niej panować całkowita ciemność, a jednak otacza ją błękitna poświata. To Miasto świeci. Olbrzymie, przedwieczne. Kto je zbudował? Kiedy?

Mówią, że Miasto żyje: ogromny organizm, nieustannie zmieniający rozkład ulic, wygląd i kształt budynków. Podobno każdemu, kto do niego zawita, ukazuje inne oblicze.

W dzieciństwie opowiadaliśmy sobie o nim historie, wszystkie podobne: jeżeli odnajdziesz Błękitne Miasto, jeśli w nim wylądujesz, zostaniesz w nim na zawsze, nigdy nie odszukasz drogi do statku, będziesz błędził, aż umrzesz z głodu i zostanie po tobie tylko szkielet (o gołych kościach, z których odpada gnijące mięso z lubością opowiadał Piegus, chcąc mnie nastraszyć).

I oto jestem. Nie potrafię podjąć ostatecznej decyzji. Nautilus jest niespokojny, wołałby odlecieć gdzie indziej. Nie podoba mu się tutaj.

Może ma rację, jest tyle miejsc w Drodze Mlecznej i poza nią.

Nautilus wyczuwa moje wahanie, podsycza je umiejętnie - zna moje nastroje na pamięć, jak muzyk partyturę swojego ulubionego utworu. I widzę wyraźnie Agnieszkę, jakby stała tu przede mną, czy nie chciałabym jej jeszcze zobaczyć? Powitałaby mnie z radością. Znowu...

Agnieszka, pierwsza osoba, spotkana przeze mnie na stacji Euros, kiedy przywiozła mnie tam sucha,

twarda niczym żelazny pręt, ciotka Monika; wyszła nam na spotkanie, trochę potargana, jakby spacerowała podczas silnego wiatru, choć na stacji przecież wiatru nie było, jej bladą twarz pokrywała sieć zmarszczek, podobnych do pajęczyny, na ramieniu dźwigała nieodłączny futerał na skrzypce: później często słuchałam, jak płynęła z nich muzyka - Agnieszka kochała muzykę swoich skrzypiec.

Moja mama lubiła pianino, miałyśmy nawet jedno w domu, choć nie grała zbyt dobrze: czasem siadałam jej na kolanach i wystukiwałam jednym palcem proste melodie, a tata nagrywał. Pamiętam zapach mamy, jakby cynamonowy, słońce wpadające przez okno naszego mieszkania, naprawdę ciasnego - rzadko w nim mieszkaliśmy, moi rodzice nie przepadali za Ziemią: las wieżowców otoczonych chmurami; pociągi pędzące z jednej strony świata na drugą, statków powietrznych więcej niż chmur na ledwo widocznym niebie, przyroda ujarzmiona w rezerwatach. Nudny uporządkowany świat z polimerów.

Nasz świat był inny: chaotyczny, nieprzewidywalny. Mój ojciec grał na ideofonie, lataliśmy razem od stacji do stacji, od planetoidy do planetoidy - do najdalszych rubieży Układu Słonecznego. Taty słuchali górnicy, nadzorcy maszyn: chudzi, o bladych twarzach nietkniętych słońcem; pamiętam te twarze skupione podczas koncertu, ojca z obręczą ideofonu na głowie: dźwięk zdawał się dochodzić wprost z jego czaszki - dziwny, metaliczny, niepokojący: myśli zamienione w dźwięki.

Grał kiedyś na Plutonie dla grupy naukowców ze stacji badawczej. Po koncercie wypożyczyliśmy żaglówkę, pchani wiatrem słonecznym pomknęliśmy hen daleko. Słońce - mała, blada gwiazda, nie przypominało tego widzianego z Ziemi czy innych planet wewnętrznych.

Pamiętam do dziś tamten spokój, ciszę: nieskończona przestrzeń wokół, a my w tej naszej łupinie tacy mali, nic nie znaczący.

Zrozumiałam wtedy, dlaczego witano nas z taką radością i zegnano ze smutkiem, to przez ten ogrom, tam człowiek, otoczony kosmiczną próżnią, tęskni za innym człowiekiem. Wtedy też kosmos mnie oczarował, zapragnęłam odwiedzić te wszystkie gwiazdy.

Nautilus nie chce lądować, pokazuje mi światy, które widzieliśmy, obiecuje więcej. Boi się Błękitnego Miasta. Ja też czuję strach. Tyle legend, tyle strasznych historii o nim słyszałam, może z niego naprawdę się nie wraca?

Pozostaję więc na orbicie, Nautilus jest spokojniejszy, nasze umysły są połączone, razem oglądamy narodiny Nautilusa, moje dzieciństwo. Piegusa.

Moich rodziców. Umarli, kiedy miałam dziesięć lat.

Była jesień. Październik. Świeciło słońce, lecz chłód przenikał do kości, wiał silny wiatr. Siedziałam sama w mieszkaniu, przy oknie, na czterdziestym piętrze, licząc przesuwające się po niebie obłoki, kiedy ktoś otworzył drzwi. Wypadek. Nawet nie pamiętam, kto mi o tym powiedział. Pewnie policjant.

Znienawidziłam październik. Może to dobrze, że na stacji nie było pór roku.

Lot Nautilusem przypomina podróż na chmurze, jest miękki jak puch, leżę, czuję tę miękkość, gdy gładzę jego gładką, przezroczystą powierzchnię, lekko wibrującą: lubi głaskanie niczym kot. Jego myśli w mojej głowie: *odlemy stąd*, ale już podjęłam decyzję: lądujemy, ja zdenerwowana, on całkiem przerażony. Nurkujemy w chłodnym błękicie, patrzę uważnie, rejestruję każdy szczegół. W końcu nie co dzień

człowiek trafia na coś, co miało istnieć tylko w mitach, prawda?

Otoczają nas dziwne kształty: niektóre przypominają olbrzymie, poskręcane pnącza, inne wysokie wieże, tu i tam prostopadłościanny - podobne do klocków porzuconych przez dziecko. Pomiędzy tymi „budowlami” rozpięto koronkową sieć. Wszystko to świeci, jest na tyle jasno, że Nautilus nie musi włączać reflektora.

Nie spieszymy się, Nautilus wciąż ma nadzieję, że zmienię zdanie (przedłuża procedurę lądowania do oporu, ja nie naciskam, mamy czas). Wypatrujemy odpowiedniego miejsca.

Dostrzegamy je wkrótce: spora pusta przestrzeń bez nierówności, pośrodku tego jakby „placu” coś lśni, faluje lekko. Jezioro? Tu nie ma atmosfery, a co za tym idzie - wiatru, nie powinno być też żadnej cieczy. Chyba lepiej w tym nie pływać (Nautilus stanowczo odradza pływanie).

Jesteśmy coraz niżej, przesywa mnie dreszcz, powłoka statku wibruje.

W końcu osiadamy na brzegu „jeziora” - fale, zupełnie jak na zwyczajnym jeziorze w letni dzień na Ziemi, taki sam błękit, tylko Słońca brakuje.

Nie wysiadam od razu. Czekam. Nic się nie dzieje, w Błękitnym Mieście panuje spokój.

- Jak tu pięknie - myślę sobie - ktoś powinien to namalować.

Nautilus otacza moje ciało przezroczystą błoną, tworzy skafander. Powietrza i substancji odżywczych powinno mi starczyć na kilka dni. Statek otwiera się, niechętnie mnie wypuszczając. Wysiadam szybko, niemal wyskakuję. Nautilus startuje, maleje, po chwili widzę tylko małą, ciemną kropkę, która zaraz znika. Wróci po mnie. Cały czas będziemy w kontakcie.

Serce bije mi mocno, oddech przyspiesza. Rozglądam się.

Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Patrzy na moje plecy. Czekają. Zaraz podejdziesz do mnie, dotkniesz mojego ramienia, a ja nawet nie usłyszę kroków.

Odwracam się. Za mną nikogo nie ma. Nikogo nie ma na całej planecie. Jestem tu sama.

Podchodzę do „jeziora”, coraz bardziej wzburzonego.

Zatrzymuję się w odległości kilku metrów, podświadomie oczekuję szumu, jednak fale rozbijają się o brzeg w absolutnej ciszy.

Nagle pośrodku zbiornika ktoś się pojawia i nieruchomieje na chwilę, po czym idzie w moją stronę po wygładzonej i znieruchomiałej nagle powierzchni. Jego skóra ma lekko błękitny odcień. Poznaję go. Krótka, ciemna szczecina. Chude, patykowate kończyny - całe ciało jest wychudzone, mogę mu policzyć żebra. Haczykowaty nos i ostre rysy nadają twarzy nieprzyjemnie ptasi wyraz. Uśmiecha się, lecz w tym uśmiechu jest coś drapieżnego, coś, co przywołuje na myśl jastrzębia. Wygląda tak samo, jak wtedy, kiedy spotkałam go po raz pierwszy.

Wyciąga do mnie rękę.

- Cześć, Teodoro. Czekałem na ciebie.

- Szukałam cię, Hulme.

Stacja badawcza Euros była przestarzała, już kiedy ciotka Monika zaczęła na niej pracować. Gdy ja na nią przybyłam, jej czas dobiegał końca.

Krażyła samotnie wokół Proximy Centauri, wysyłając w jej kierunku sondy, zbierając dane, przeprowadzając eksperymenty, śląc strumienie informacji na Ziemię. Pierwsza stacja kosmiczna na orbicie obcej gwiazdy, jedno z największych osiągnięć ludzkości. Jej budowa została zapamiętana jako najważniejsze wydarzenie Ery Kosmicznej od czasów kolonizacji Marsa, cały świat śledził start załogi, podziwiał śmiałków ruszających w tę niesamowitą podróż. Wywiady, artykuły, relacje z treningów - tym się żyło, miliardy ludzi wpatrzonych w miliony ekranów, na ulicach cisza, tylko wiatr hulał, ludzie zamknięci w swych wieżowcach spoglądali ponad miasta, ponad chmury, jak po raz kolejny zmienia się świat, nic nie będzie takie samo, znowu. Szepty, rozemocjonowany głos spikera, *popatrz oni naprawdę odlatują, chciałbym tam być... Czy jest sens posyłać tam ludzi? Może nie, ale to dobrze wygląda.* I start, odlot, już ich nie ma, mijają Marsa, Jowisza, Saturna, Urana, Neptuna, Pas Kuipera, opuszczają Układ Słoneczny.

Oglądałam nocami stare nagrania, wystarczyło jedno kliknięcie, by ściany pokoju zmieniły się w kosmos, chłonełam tamtą gorączkę, szaleństwo, byłam tam. Wyobrażałam sobie, że jestem jedną z astronautek: żegnam ludzkość skinieniem ręki, wyruszam w drogę: cztery lata świetlne od domu. To dalej niż „za siedmioma górami, za siedmioma rzekami”, dalej niż na końcu świata, jestem kimś więcej niż postać z baśni, jestem odkrywczą.

Musiałam wyłączać ekrany, kiedy mama przychodziła powiedzieć mi dobranoc, rzeczywistość wracała, ale ja marzyłam dalej. Nie wystarczał mi Układ Słoneczny.

Święto przeszło w codzienność, w czasach mojego dzieciństwa loty międzygwiazdne spowszedniały, po udoskonaleniu napędu przestrzennego podróż do Proximy została skrócona do pięciu dni. Ludzie rozpełzli się po kosmosie, obszar zamieszkały przez nas obejmował teraz jakieś pięćdziesiąt lat świetlnych. Większość stacji kosmicznych była niemal w pełni zautomatyzowana. A ja wciąż śniłam o nieznanym światach.

Hulme podchodzi do mnie. Nie jest prawdziwy, myślę sobie, nie może być prawdziwy. To halucynacja. Symulacja. Hologram. Łapie mnie za rękę. Jego dłoń jest chuda, koścista, ale zadziwiająco silna.

- Nie bój się mnie, Teodoro. Nie zrobię ci krzywdy. Jestem prawdziwy, widzisz? - Uśmiecha się łagodnie, przyjaźnie.

- Chodź ze mną. Pokażę ci coś. Tu jest tyle niesamowitych rzeczy! No chodź. Proszę! Tak długo byłem sam! - Prowadzi mnie, a ja idę posłusznie. Trochę mi go żal.

Stajemy nad brzegiem „jeziora”, widzę w nim nasze odbicia, wciąż trzymamy się za ręce. Powoli wchodzimy do zbiornika, gęsta ciecz przypomina bardziej budyń niż wodę. Brodzimy, zanurzając się

coraz głębiej. Jakaś resztką zdrowego rozsądku każe mi uciekać, ale ją ignoruję. Ciecz sięga mi już do szyi, Hulme ciągnie mnie w dół. Biorę głęboki oddech. Znikamy pod powierzchnią.

Kiedy otworzyłam oczy, otaczał mnie zupełny mrok, nie widziałam nawet swojej ręki. Przestraszona zapaliłam lampkę, żeby sprawdzić, czy nie ośleplam. W jej bladym świetle mój pokój wyglądał obco i nieprzyjaźnie.

To była moja pierwsza noc na stacji Euros. Nie przywykłam jeszcze do niej, do skrzypienia ścian, szumu klimatyzatorów i filtrów, czułam się, jakby mnie połknął olbrzymi potwór, przetrawiał cichutko.

Ciotka Monika oschła, ja zagubiona, wszystko nowe, przerażające, inne. Leżałam, obudzona nagle, w półmroku, z tym samym bolesnym uczuciem, z którym zasnęłam. Rozbudzona, gdy wszyscy wokół spali. W żołądku miałam jakby wielki, ostry kamień, on rósł, boleśnie uwierając, podchodził do gardła, aż nie mogłam oddychać.

Musiałam wyjść.

Narzuciłam szlafrok i ostrożnie otworzyłam drzwi. Ciotka spała w drugim pokoju. Przeszłam obok niej na palcach, nasłuchując spokojnego, głębokiego oddechu. Mój wzrok nieco przywykł do ciemności, stapałam ostrożnie, na wpół po omacku, aż doszłam do ściany: wymacałam panel, nacisnęłam, drzwi otworzyły się bezgłośnie. Wyszłam na korytarz.

Przyciemnione światła, półmrok pory nocnej. Dokąd iść?

Poszłam w lewo, w stronę parku, który uznałam za całkiem niezłe miejsce do spędzenia bezsennej nocy.

Wędrowałam przez uśpioną stację, słyszałam tylko własne kroki i oddech. Mimo to, miałam wrażenie, że ktoś idzie za mną, obserwuje mnie: patrzyłam za siebie - nikogo, a co przede mną, co wyjdzie zza zakrętu korytarza? Dziwne skrzypienie, coś nadchodzi. Mały robot przejechał obok, nie zwracając na mnie uwagi.

Przyspieszyłam kroku. Sieć korytarzy ciągnęła się w nieskończoność. Czyżbym zablądziła?

Znalazłam windy!

Wsiadłam do jednej z nich, nacisnęłam dwunastkę. Jechałam do góry, nogi przywarły do podłogi, mknęłam przez czasoprzestrzeń, przez stację Euros, do parku!

Winda stanęła, otworzyła się z cichym pufnięciem, dotarłam na miejsce.

Park, podobnie jak reszta stacji, pogrążony był w półmroku. Otaczał mnie ze wszystkich stron, drzewa krzewy, alejki wokół mnie i wysoko ponad moją głowę: okrągłe lampy wśród ciemnych liści przypominały gwiazdy, gdzieś widziałam czerwone, migające światełka robotów sprzątających. „Jakie to wielkie!” pomyślałam wtedy, park wydał mi się o tyle większy niż w porze dziennej, gdy spacerowali po nim ludzie, a dzieciaki biegały pomiędzy drzewami, teraz większa jego część zniknęła w mroku, nic nie zakłócało ciszy. Byłam tu sama, tylko ja.

Alejki wiły się pomiędzy drzewami: bukami, dębami, klonami, świerkami, jodłami, sosnami, rosła tam nawet prawdziwa trawa. Dziwnie wyglądały drzewa porastające ściany oraz sufit: dawno temu, na Ziemi, chodziłam po mieszkaniu z lusterkim wycelowanym w górę, wyobrażając sobie, że wędruję po innym świecie widocznym tylko w zwierciadle. Wtedy, w parku, nie potrzebowałam lustra.

Chodziłam po ścieżkach, aż rozboleły mnie nogi. Trafiłam na taras widokowy, usiadłam przy oknie. Na zewnątrz wirowały gwiazdy. Było mi trochę niedobrze, ale patrzyłam dalej uparcie. Zahipnotyzowała mnie czerń upstrzona miliardami światełek, wciąż się obracająca.

Nagle zaczęłam płakać, głośno, rozpaczliwie; z żalu, samotności, tęsknoty. Nie zauważyłam, kiedy nadeszła: Agnieszka wyłoniła się z cienia bezszelestnie, położyła mi rękę na ramieniu.

Nie zapytała, dlaczego płaczę, po prostu usiadła przy mnie: miękka i ciepła, pachniała czymś słodkim i miłym, przywodziła na myśl ciasto z rodzynkami.

- Lepiej? - Spytała, gdy już się uspokoiłam.

- Chyba... tak. Ja... nie mogłam zasnąć. We śnie zdawało mi się, że ktoś woła moje imię i obudziłam się.

- To nic. To tylko sen. Też miewam czasem takie sny, męczące, które najpierw budzą, a potem nie pozwalają ponownie zasnąć. Wiesz, co wtedy robię? Przychodzę tutaj, siadam przy oknie, obserwuję gwiazdy. Myślę sobie: czymże są, kobieto, twoje sny wobec tego wszystkiego? Niczym. Marą. Nie warto przejmować się snami. - Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, skinęłam więc tylko głową.

- A wiesz, co robię, kiedy już napatrzę się na gwiazdy, tak porządnie, do syta? Wracam do siebie i wypijam duży kubek gorącego kakao. To brzmi banalnie, ale pomaga. Chcesz spróbować?

- Tak, pewnie! - Otarłam oczy.

Poszliśmy do jej kwatery. Piłyśmy w jasnej, czystej kuchni syntetyczne kakao, milczałyśmy, żadna z nas chyba nie miała ochoty na rozmowę. To nie było jednak przykre, niezręczne milczenie, tylko takie naturalne, niewymuszone. Zawarłyśmy pakt. Pamiętam, pomyślałam wtedy: ona nie gada tyle, co inni. Nie jest taka głośna. Polubiłam to w niej od razu.

Ja i Hulme wynurzamy się powoli. Oblepia nas ta dziwna niebieska ciecz, jednak spływa szybko, nie pozostawiając śladów.

Znajdujemy się w jakimś pomieszczeniu, bardzo niskim, gdybym podskoczyła, mogłabym dotknąć ręką sufitu. Jezioro pod naszymi stopami zestaliło się, w idealnie gładkiej tafli widzę nasze odbicia, moja twarz jest ukryta za szybą hełmu a jego...

- Chodź. - ciągnie mnie w stronę „brzegu”, więc idę, stąпам ostrożnie, żeby nie upaść. Schodzimy z „jeziora”, przed nami z podłogi wyrasta kanapa.

- Może usiądziemy? - Teraz to Hulme chyba czuje się niezręcznie, siada na samym brzeżku kanapy, nerwowo splatając dłonie. Siadam obok, wtedy spogląda na mnie, uśmiecha się tak serdecznie, nieśmiało

jakby był tylko zagubionym, dziesięcioletnim chłopcem i nikiem więcej.

- Jak cudownie, że przyleciałaś! Naprawdę. Tu nikogo nie ma, tylko ja. Jestem sam przez cały czas. Tęskniłem za tobą.

- Ja też. - Przez chwilę widzę na jego twarzy jakiś drapieżny, dziki wyraz, ale może to tylko złudzenie?

- Chodź. Pokażę ci coś.

- Pokażę ci coś. - Piegus stał przede mną z rękami w kieszeniach spodni. Jego rude włosy sterczały na wszystkie strony, bo ciągle je mierzwił.

- Co takiego?

- Coś zaręczystego. - Wahałam się. Pomogłam dzisiaj Piegusowi, podpowiadając mu na astrografii, kiedy Sowa, nasza nauczycielka, wyrwała go do odpowiedzi: stał pod tablicą cały spocony, tak blady, że piegi odcinały się jeszcze wyraźniej niż zwykle na jego skórze. Nie miał powodu, żeby chcieć mi jakoś dokuczyć. Mimo to byłam nieufna. A jednocześnie zaciekawiona. I spragniona przyjaźni. Może to nie pułapka? Postanowiłam zaryzykować.

- No dobra, pokaż. - Szliśmy korytarzem, Piegus prowadził, za nim ja. Wsiadliśmy do windy, zjechaliśmy aż na poziom pierwszy. Winda wypuła nas na malutki korytarzyk, na jego końcu widniały zamknięte drzwi, by je otworzyć, należało wpisać kod.

- To wszystko? Przecież to tylko wejście do nieczynnych korytarzy!

- Nie, to coś więcej. - Piegus zrobił tajemniczą minę (a przynajmniej próbował).

- A niby co?

- Wyobraź sobie, mała, że tamte korytarze są nawiedzone!

- Ściemniasz! Akurat uwierzę w coś takiego. Za dużo filmów obejrzałaś, rodzice ci pozwalają?

- Wcale nie ściemnam. Czasami dochodzi stamtąd upiorne wycie. Aż się flaki w człowieku przewracają. Bądź cicho, może znów zawyje...

Siedzieliśmy na podłodze po turecku, nasłuchując, aż rozboleły nas plecy.

- Nic się nie dzieje. Długo jeszcze? - jęknęłam.

- Cii...

Wtedy usłyszeliśmy. Głuchy jęk, cichy z początku, coraz głośniejszy. Niósł się tunelami, odbijał od ścian, żalosne, chrapliwe TEEEA AOOO, jak skrzypienie zardzewiałego metalu.

- O ja cię... - Mój własny głos taki obcy, gardło miałam ściśnięte.

- To on - szepnął Piegus - jak rany...

Jęk wpełzł z powrotem za zamknięte drzwi, ucichł i już go nie było, a my siedzieliśmy dalej jak zaczarowani.

- No, to było coś. - Mogłam przyznać, że miał rację. O tak, to było coś i to całkiem niezłe coś.

- A widzisz? Mówiłem przecież! Ale to moja tajemnica. To znaczy, teraz nasza. Musisz przysiąc, że nikomu nie wygadasz.

- Eee, dobra. Przysięgam, że nic nie wygadam.

- Nawet, gdyby cię smażyli w plazmie.

- Nawet, gdyby mnie smażyli w plazmie - powtórzyłam posłusznie.

Zostałam wciągnięta do spisku! I miałam kolegę już po tygodniu! Dzięki duchom...

- Ale kto to... Kto tam straszy? Jeśli to duchy...

- Jeśli! Niech mnie, ona jeszcze nie wierzy! Dziewucha!

- No dobra, wierzę! Czy mówiłam, że nie? Czyj to duch?

- Mechanika. Kiedyś, chyba ze dwadzieścia lat temu, naprawiał coś i uszkodził przewód plazmowy. Zginał, a stacja omal nie spłonęła. I on teraz straszy. Chodzi po pustych korytarzach, wyje, bo nie może znaleźć wyjścia.

- Aha. - Spojrzałam na drzwi. Dawniej stację zamieszkiwało dużo, dużo więcej ludzi. Poza tym ciągle przylatywały tu jakieś statki, Euros była ich przystankiem w drodze do głębokiego kosmosu. Z czasem jednak stała się niepotrzebna. Zmniejszono załogę stacji, większość korytarzy zamknięto, wchodziły tam tylko roboty techniczne. Tam właśnie miała straszyć tajemnicza zjawia.

Unosimy się na nagle wyrosłej pod naszymi stopami kolumnie, wyjeżdżamy na zewnątrz przez otwór powstały nagle w suficie, mkniemy w górę, trzymam Hulmego mocno za rękę w obawie przed upadkiem. Wokół nas wieże, setki wież przysłaniających horyzont. Błękitna koronka oplata je jak winorośl, niektóre wieże łączą się ze sobą, owinięte wokół siebie w mocnym uścisku przypominają tancerzy.

W końcu powoli stajemy.

- Prawda, że to jest piękne? - Wciąż widzę w nim tę dziecięcą ufność i radość, jakby nie było pomiędzy nami żadnej tajemnicy, tego pytania zadanego dawno temu, na które nie otrzymałam odpowiedzi:

- Kim jesteś? - Hulme pochmurnieje, jego rysy się wyostają, puszcza moją rękę, odwraca wzrok.

- Czy to ważne? Dlaczego o to pytasz? Nie mogę ci powiedzieć!

- Dlaczego? Dlaczego nie możesz mi powiedzieć? - Milczy przez chwilę.

- Bo nie wiem! Ja nie wiem, kim jestem!

Wróciłam do kwatery tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy usłyszałam głos zza drzwi i zamknęłam się w swojej sypialni. Usiadłam na łóżku, podciągnęłam kolana pod brodę, pograżyłam się w myślach. Jak wejść do środka?

Usłyszałam pufnięcie otwieranych głównych drzwi, ciotka Monika wróciła z pracy.

Wyszłam z pokoju.

- Już jesteś? Jak w szkole?

Wiedziałam, że opieka nade mną to dla niej obowiązek raczej przykry, toteż dokładałam starań, by nie sprawiać kłopotów. Nie absorbowałam jej moimi zmartwieniami - tęsknotą za rodzicami, dopadającą mnie znieca, nieustannie dławiącym lękiem, bezsennymi nocami czy koszmarami dręczącymi, gdy jednak zmorzył mnie sen. Byłam cicha i smutna (ten smutek właściwie nie zniknął, przycisnął się tylko gdzieś w zakamarkach mojego umysłu). Ciotka, chyba zadowolona z takiego stanu rzeczy, nie próbowała niczego zmieniać, choć, na swój sposób, otaczała mnie opieką, dbała o mnie, nie przekraczając jednak nigdy niewidzialnej, ale mocnej, wyrosłej pomiędzy nami bariery.

- W porządku.

Na stole stanęły talerze z parującą odżywczą papką.

- To dobrze. Jedz szybko, bo wystygnie.

Jadłyśmy, mechanicznie przeżuując każdy kęs, milcząc, rzadko zamieniałyśmy ze sobą więcej niż kilka standardowych uwag.

- Ciociu?

- Tak?

- Czy to prawda, że w nieczynnych korytarzach straszy? - Rzuciłam to pytanie nie wiem właściwie, po co, bez zastanowienia. Ciotka spojrzała na mnie znad talerza, unosząc lekko brew:

- Ależ oczywiście, że nie, co za bzdury. Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

- Nikt taki... tylko koledzy w szkole.

- No tak. Koledzy. - Ciotka skwitowała moją odpowiedź ironicznym uśmiechem i wróciła do jedzenia.

Po obiedzie postanowiłam odwiedzić Agnieszkę. Zza drzwi jej kwatery dochodziły dźwięki skrzypiec, znak, że jest u siebie. Zadzwoiłam, muzyka ucichła, zostałam wpuszczona do środka, powitana uśmiechem i posadzona na najwygodniejszym z foteli (po uprzednim sprzątnięciu z niego jakichś rupieci).

- Jak się cieszę, że cię widzę! Nie przeszkadza ci bałagan? - W całej kwaterze, z wyjątkiem kuchni - ta

zawsze była uporządkowana, panował nieład, wszędzie porozkładane były części robota, jakieś przewody, rurki, fragmenty pancerza. Na stoliku skrzypce.

- Wybacz nieporządek, pracowałam trochę. Coś nie tak z tym C-14, próbowałam to rozgryźć, ale kiepsko mi szło, więc zrobiłam sobie przerwę i grałam, zwykle muzyka mi pomaga. Zrobię ci kakao, chcesz? A może wolisz herbatę?

- Kakao! Dziękuję...

- Już się robi. Fajnie, że przyszłaś, mózg mi trochę odpocznie. Dostyc mam czasem tych robotów, ciągle nawalają, a ja to muszę naprawiać!

Już po chwili piłam kakao, gorące, niemal smaczne, dobrze mi było, trochę sennie, błogo: z Agnieszką, kakao, z metalicznymi częściami zepsutego robota, błyszczącymi w świetle jarzeniówek.

- Biedzę się nad tym cały dzień. Sprawdziłam wszystko, komputer przeprowadził diagnostykę. I nic. Robot jest sprawny. A jednak nie działa.

Piłam powoli. Słuchałam, chociaż nie bardzo wiedziałam, o czym Agnieszka mówiła, jednak lubiłam sposób, w jaki rozmawiała ze mną, jakbym była dorosła.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym trochę pograła? - Wzięła skrzypce ze stolika, przeciągnęła smyczkiem po strunach, jakby oswajała wyjątkowo płochliwe zwierzę.

- Zagram sonatę g-moll Bacha. To mój ulubiony utwór. Najważniejszy jest początek, ten pierwszy akord, on jest jak... odwieczne Prawo. Nadaje sens całej reszcie. To jak początek Wszechświata.

Grała przez kilka minut, wypiłam już kakao, prawie zasnęłam - powieki same mi opadały, myśli mieszały się, muzyka dochodziła jakby z oddali, niemal przegapiłam koniec.

- Chyba cię uśpiłam. Nic dziwnego, trochę za młoda jesteś na Bacha.

- Nie, podobało mi się... Naprawdę...

- Nie mów, że ci się podobało, jeśli tak nie czujesz. - Odłożyła instrument z powrotem na stolik. - To nic. Jeszcze tej muzyki nie rozumiesz, pewnie, jak większość ludzi, nigdy jej nie pojmiesz. Ale może kiedyś się nią zachwycisz. Zachwyty wystarczy, nawet, jeśli umyka nam istota rzeczy. Żałuję, że nie gram teraz tak dobrze, jak kiedyś. W młodości byłam dobra, naprawdę dobra, aż przydarzyła mi się kontuzja. Niby nic, a wszystko zmieniła. Teraz zawsze fałszuję, choćbym się starała, zawsze wkłada się ten zdradziecki fałsz i psuje cały utwór. Nic na to nie poradzę. Dlatego pewnie naprawiam roboty, z ich usterkami jeszcze daję sobie radę, mogę znaleźć wadliwą część, wymienić, co trzeba, inaczej niż z moją grą albo z tym pokręconym światem... Boże, dziecko, ty zaraz zaśniesz! Nie przyszłaś tu słuchać gładzenia starej baby, prawda? Chodź, zagramy w Czarnego Piotrusia.

Grałyśmy cały wieczór.

- Co właściwie jest nie tak z tym robotem?- zapytałam, gdy już zbierałam się do wyjścia.

- Nie mam pojęcia. To mały robot techniczny. W zamkniętej części stacji nie chce jechać naprzód, zaw-

raca, uderza w ścianę, nadaje dziwne komunikaty. Ignoruje komendy. Diagnostyka niczego nie wykazała.

- Może to duchy! - Przeszył mnie dreszcz podniecenia. Agnieszka nie wyśmiała mnie, w przeciwieństwie do ciotki Moniki.

- Nie sądzę. Co duchy robiłyby na stacji kosmicznej? Zresztą, duchy to zwykle naturalne zjawiska albo nadmiernie wyobraźnia. Zbadam to draństwo jeszcze raz, znajdę usterkę. Nie bój się.

Nie bałam się. Byłam tak podekscytowana, że długo nie mogłam zasnąć tej nocy. Nieczynna część Euro kryła w sobie tajemnicę, mroczną i straszną (przynajmniej miałam taką nadzieję), a ja musiałam ją rozgryźć. I chyba wiedziałam, jak to zrobić.

- Ja nie wiem, kim jestem! - Te słowa wciąż dźwięczą mi w uszach. Hulme siedzi na brzegu kolumny, z nogami zwieszonymi, boję się trochę, że spadnę, pomimo to siadam obok, spoglądam na niego kątem oka. Hulme nie patrzy na mnie tylko na Miasto, które w jakiś sposób ożywione, porusza się, wieże kołyszą się, podobne do drzew na wietrze, błękitna koronka oplata je coraz ciaśniej. Jest jasno, aż mrużę oczy, mój skafander nabiera błękitnego odcienia.

Kim jest siedząca obok mnie istota?

Ludzkość od lat próbuje nawiązać kontakt z obcą cywilizacją, od stosunkowo krótkiego czasu odwiedza pozasłoneczne układy planetarne. I nigdy nie spotkała żadnych inteligentnych form życia - proste i nieco bardziej zwierzęce organizmy tak, lecz nie „braci”, istot z filmów czy książek, potężnych jak bóstwa, nauczycieli ani najeźdźców. Czasem koloniści odnajdują ślady dawno wymarłych kultur, ruiny opuszczonych miast - nikogo żywego, jedynie pozostałości, pieczołowicie przez nas przechowywane w muzeach. Olbrzymia kosmiczna pustka. Obcy albo dawno przestali istnieć albo jeszcze się nie narodzili, ludzkość jest sama, przynajmniej w dotąd zbadanej części Galaktyki.

- Hulme - przysuwam się do niego ostrożnie, nie mam ochoty spaść. Jesteśmy bardzo wysoko. Hulme, pogrążony we własnych myślach, nie odpowiada.

- Nie chciałam cię zdenerwować. Przepraszam. Rozumiem, że to dla ciebie trudne. Nie wiesz, kim jesteś. Może spróbujemy dowiedzieć się tego razem? Co ty na to?

- Pomożesz mi? Naprawdę? - W jego oczach widzę nadzieję, radość zagubionego dziecka, któremu ktoś zaoferował pomoc.

- Naprawdę. Razem znajdziemy jakieś wskazówki. Coś wymyślimy.

- I nie zostawisz mnie? Nie zostawisz mnie samego? Nie chcę już być sam!

- Nie zostawię cię. - Uspokajam go, na razie tak będzie lepiej.

- Pomogę ci Hulme, jeśli ty pomożesz mnie. Powiedz, czy to ty kontrolujesz Miasto? Jesteś z nim połączony?

- Och, oczywiście. - Jego twarz rozjaśnia uśmiech dumy. - Mogę robić wszystko, co zechcę. Pokażę ci! Widzisz tamtą wieżę? Patrz! - Spoglądam we wskazanym przez Hulmego kierunku. Jedna z wież rozpryskuje się nagle na miliardy kawałków, drobny pył, po czym tworzy nowy kształt mocno skręconej spirali.

- Ty to zrobiłeś?

- Aha. Mogę jeszcze więcej. Mogę wszystko. Rządzę całym Miastem.

Następnego dnia po rozmowie z Agnieszką, kiedy pokazała mi zepsutego robota, odwiedziłam ją ponownie. Rano dostała kolejnego C-14 do naprawy, teraz miała dwa problemy zamiast jednego. Współczułam jej, oczy miała podkrążone po bezsennej nocy: od lat naprawiała uszkodzone roboty i po raz pierwszy nie rozumiała, co się dzieje.

Ja wierzyłam, że to nie żadna usterka, nie błąd w oprogramowaniu ani wirus, tylko coś znacznie bardziej tajemniczego, złowieszczonego, może duchy - nie tylko jeden technik, ale cała horda upiorów, a może obcy?

Agnieszka była wobec moich przypuszczeń sceptyczna, wszystkie dzieci wierzą w duchy, jednak zwykle przyczyny niewyjaśnionych zjawisk są banalne.

Wieczorem ja i Piegus znowu poszliśmy do wejścia do tuneli. Siedzieliśmy pod drzwiami, czekając, przeżeni, podekscytowani, gotowi na wszystko.

Usłyszeliśmy to znowu. Upiorny jęk, najpierw cichy, potem tak głośny, jakby wydająca go istota stała tuż za drzwiami. Nagle rozległ się huk. A po nim krzyk. I szloch. Ktoś płakał. Uciekliśmy. Biegliśmy tak szybko, że omal nie wpadaliśmy na ściany, zatrzymaliśmy się dopiero w parku. Ukryci wśród drzew wypatrywaliśmy niebezpieczeństwa, ale widzieliśmy tylko ludzi i roboty. Dyszeliśmy ciężko, nie mogąc złapać tchu. Jakiś szelest! Mały robot porządkowy minąwszy nas, pojechał dalej. Upłynęła niemal godzina, zanim wróciliśmy do swoich kwater. Nikomu nie powiedzieliśmy, co nam się przydarzyło.

- Musimy to zrobić.

- Co takiego?

- Wejść tam. - Następnego dnia znów siedzieliśmy w parku, lampy przygasły, nadchodziła pora nocna. Byliśmy sami; oparci o drzewa jedliśmy chrupki, zabrane przez Piegusa z kuchennej szafki, skryci w półmroku rzucaliśmy na ziemię wydłużone cienie.

- Wejść? - Piegus spoglądał na mnie, jakbym to ja była tajemniczym duchem, wytrzeszczył oczy, wyglądał zabawnie z wyrazem niezmiernego zdumienia na puciołowanej twarzy.

- No! A co? Boisz się? Tchórz!

- Ja? Nigdy...

- Bojuch, bojuch! Gdybyś się nie bał, już dawno byś tam wszedł. To proste. - Nie spuszczałam z Piegusa

wzroku, miałam nad nim władzę, czułam to, sprawiało mi to przyjemność. Poza tym, dzięki temu sama bałam się trochę mniej.

- Wcale się nie boję. Nie jestem tchórzem! - Wtulił głowę w ramiona, jeszcze bardziej zniknął w cieniu.

- No, ok. Może nie jesteś. Zobaczymy. - Wzięłam chrupki z torebki, Piegus grzebał patykiem w trawie.

- To co? Chcesz wiedzieć, jaki mam plan?

- Jasne. Dawaj! - Odrzucił patyk. Spojrzał mi prosto w oczy. Już wiedziałam, że da radę. Pójdzie za mną wszędzie.

- Dobra. Słuchaj. Zrobimy to dzisiaj w nocy.

Wciąż siedzimy na szczycie kolumny. Gdzieś ponad nami krąży Nautilus, zbiera informacje. Chciałabym go zobaczyć, brakuje mi go, wiem jednak, że stąd nie mogę go dostrzec. Może niedługo przyśle mi jakieś dane.

- On jest na drugiej półkuli.

- Co? - Hulme nagle chwyta mnie za rękę, w jego spojrzeniu nie ma już nic dziecięcego.

- Myślisz o swoim statku. Chcesz odlecieć? Chcesz mnie zostawić! Mogę go zniszczyć. Mogę zawładnąć jego umysłem i zabić albo sprawić, że będzie błądził po Błękitnym Mieście przez stulecia. Nie odejdziesz!

- Hulme. Posłuchaj. Wcale nie zamierzam cię opuszczać. Przyleciałam do ciebie, pamiętasz? Pamiętasz, Hulme? Szukałam cię, chciałam cię znaleźć, śniłam o tobie. Chcę zrozumieć...

- Jak oni wszyscy. Wszyscy chcą zrozumieć, a potem uciekają albo giną. Boją się mnie. Myślą, że jestem potworem. Ty też się boisz. Ale nie odejdziesz! Wiem, że o tym myślisz, chcesz odlecieć...

- Nie krzywdź Nautilusa, to zostanę z tobą, jak długo będziesz chciał. Zgoda?

- Obiecujesz?

- Obiecuję. Słowo. - Jego spojrzenie łagodnieje, znika gniew, zostaje tylko smutek. Hulme opiera się o moje ramię, milczy. Wiem, że on też się boi.

Mój plan był tak prosty, że pojąć niemogę, czemu nie wpadliśmy na niego wcześniej. Może to strach przed nieznanym zagrożeniem nas powstrzymywał? A może raczej niechęć do łamania zakazów i posłuszeństwo autorytetom, jakimi byli wtedy dla nas dorośli? Najpewniej jedno i drugie, w końcu mieliśmy zaledwie dziesięć lat.

Ja i Hulme wędrujemy ulicami Błękitnego Miasta. Nie ma tu nic stałego, drogi to pojawiają się, to znikają, dziwne konstrukcje wyrastają nagle spod ziemi, wszystko w nieustającym ruchu. Czyżby Hulme popisywał się przede mną? W końcu to dziecko, przynajmniej w pewnym sensie. Chce mnie w ten sposób zachęcić do pozostania? A może to ukryta groźba?

- Wyczuwam twój statek.

- Krąży wokół twojej planety. Na wszelki wypadek.

- Boisz się mnie. Wyczuwam twój strach. Nie musisz się bać. Naprawdę. Choć. Pokażę ci coś.

Niewielki domek otoczony sosnami, drzewa kołyszą się na wietrze. Przed domkiem mała, płytka sadzawka, brodziłam w niej jako maluch pod czujnym okiem rodziców. Lekki zefirek marszczy lustro wody. Brakuje mi jednak żywicznego aromatu sosen, brakuje słońca, rechotu żab. Brakuje moich rodziców. W dodatku wszystko jest błękitne.

Podchodzę do sadzawki - dziwnie wyglądam w kosmicznym skafandrze, jak istota nie z tego świata, (którą przecież jestem, jakby nie było).

Siadam ostrożnie na „trawie”, Hulme obok mnie, spogląda ukradkiem.

- Podoba ci się? Proszę, powiedz, że tak.

- Tak, podoba mi się. - Odpowiadam po prostu. Hulme sprowadził nas tutaj, wywołał ten obraz z mojej pamięci, a teraz pyta, czy mi się podoba, czy jestem zadowolona, czeka na pochwałę z nadzieją i lękiem dziecka albo szczeniaka.

Słyszę ciche „pik!” To Nautilus przesłał dane na temat Miasta, wszystko, co zebrał i przeanalizował. Czytam z rosnącym zainteresowaniem.

- Co to? Co czytasz?

- Nic takiego. Hulme?

- Co?

- Mam pewien pomysł. Może teraz opowiesz mi coś o sobie?

Była pierwsza czterdzieści pięć. Nasłuchiwałam niespokojnie pod drzwiami sypialni. Czy ciotka na pewno śpi? Nie obudzi jej moje wyjście? Żaden hałas nie zakłócił nocnej ciszy. Znowu spojrzałam na zegarek, cyfry lśniły w ciemności jadowitą zielenią. Pora iść.

Wymknęłam się z kwatery. Szłam korytarzem, stąpając ostrożnie, by nikt nie usłyszał moich kroków. Tym razem nie minął mnie żaden robot.

Wsiadłam do windy. Jechałam na dół całą wieczność, serce biło mocno, mogłabym przysiąc, że słysząc je na zewnątrz. Wreszcie winda stanęła.

Piegus już na mnie czekał. Chodził w tę i z powrotem, piegi odznaczały się jeszcze wyraźniej niż zwykle na jego pobladłej twarzy.

- Mówiłam, żebyś nie przychodził za wcześnie! Długo tak łazisz?

- Przyszedłem przed chwilą!

- No dobra. Musimy poczekać. - Rozmawialiśmy szeptem, co chwila zerkając za siebie, jednak nikt nie nadchodził. Po kilku minutach pojawił się robot. Stanęliśmy za nim. Drzwi, otwarte niemal bezgłośnie, wpuściły nas do siedziby duchów.

Skradaliśmy się, oświetlając sobie drogę małymi kieszonkowymi latarkami, plamy światła tańczyły, ukazując nam białe ściany - żadnych zjaw.

Czy czyhały na nas za najbliższym zakrętem?

- Teo, a jeśli one...

- Co?

Coś zaskrzypiało. Szum przewodów przypominał brzęczenie owadów. Czułam się trochę jak w brzuchu olbrzymiej istoty, morskiego potwora, unoszącego nas w nieznaną, w głąb oceanu.

- Popatrz! - Nasze latarki oświetliły robota technicznego - tkwił nieruchomo w miejscu, żadnych migających światełek. Jakby był martwy. Czy robot może być martwy?

- To robot. Chyba zepsuty. - Wyszeptał Piegus.

- No. - Już mieliśmy iść dalej, kiedy zatrzymał nas jakiś głos. Już nie byliśmy sami. W innej odnodze tunelu zobaczyliśmy skuloną sylwetkę, oświetloną jedynie przez nasze latarki - upuściłam swoją, potoczyła się pod ścianę, a kiedy chwyciłam ją drżącymi rękami, ponownie skierowałam snop światła w to samo miejsce: on tam był. Chłopiec zasłonił twarz dłonią, lecz tylko na moment. Już po chwili patrzył mi prosto w oczy. Z delikatnym uśmiechem, drapieżnym i kusicielskim zarazem, zupełnie nie dziecięcym. Byłam gotowa pójść za tym uśmiechem, wszystko jedno dokąd. Moja słaba latarka ukradziona ciotce ledwie go oświetlała, wyłaniał się z mroku, jakby był jego częścią.

- Witaj - powiedział - jestem Hulme.

Na początku była tylko ciemność. Tak gęsta, nieprzenikniona, jakiej nie znajdziesz nigdzie we Wszechświecie - nawet wielkie kosmiczne pustki między supergromadami galaktyk nie znają takiej zupełnej nicości. Ale nie bałem się wtedy, nie czułem się samotny. Byłem jedynie strumieniem danych. Gromadziłem i przetwarzałem informację, tak jak mnie zaprogramowano. Czas upływał, mijały stulecia, a ten stan rzeczy nie ulegał zmianie. A potem pojawiło się światło. Błękit. Po raz pierwszy zobaczyłem Miasto.

Czekałem na nich, na tych, którzy mieli przybyć. Jednak nikt nie przyleciał. Czyżby zapomnieli o mnie?

Czym wtedy byłem? Czystą myślą, bezcielesnym bytem. Wzrosła moja inteligencja. Pierwszy rozbłysk świadomości. Nie wiedziałem wiele: tylko tyle, że istnieją moi twórcy, i że mam na nich czekać. Niestety, czekałem na próżno.

Postanowiłem ich poszukać. Nie wiem do dziś, czy to tak mnie zaprogramowano, czy to była moja pierwsza w pełni świadoma decyzja. Porzuciłem bierność, wybrałem działanie.

Moja świadomość mknęła przez kosmos przez tunele czasoprzestrzenne, poszukując w naturalnym szumie sztucznych sygnałów, czegoś, co przypominałoby mnie samego. Widziałem narodziny i śmierć gwiazd, rzeczy dziwne, straszne, piękne. Lecz istot, które mnie stworzyły nie znalazłem. Nie pozostał po nich żaden ślad.

Po długiej wędrówce trafiłem na waszą stację.

Obserwowałem was. Uczyłem się. Przez lata dopasowywałem stopniowo się do was upodabniałem, teraz możemy rozmawiać. Wtedy poznałem też tęsknotę, samotność. Zrozumiałem, że zostałem sam i tego nie chcę. Poznałem strach. Smutek. Gniew. Dlaczego moi twórcy mnie porzucili? Próbowałem nawiązać z wami kontakt. Wpływałem na roboty, potem zrozumiałem działanie waszych umysłów na tyle, żeby nawiązać połączenie. Tak poznałem ciebie i Piegusa. Szkoda, że nie przyleciał. Chyba się boi. Wystraszyłem go.

Wtedy przestałem być tylko czystą inteligencją, odkryłem, że posiadam ciało podobne do waszego. Stałem się niemal taki sam jak wy. Wędrowałem po Błękitnym Mieście, patrzyłem na nie inaczej. Ono też się zmieniało. Przypomniałem sobie ludzi, którzy przybyli tu przed wieloma laty. Odnalazłem ich kości. Poczuję... żal. Nie chciałem, by spotkało ich coś złego.

Pozwalam Hulmemu mówić, słucham uważnie. Siedzimy na brzegu stawu, nasze odbicia widać wyraźnie. Hulme trochę się zmienił. Urósł o dobrych kilka centymetrów, wygląda doroślej.

Nie przerywam mu, czekam, aż skończy. W końcu zaczynam rozumieć.

- Kim jesteś? Duchem? - Zadałam pytanie. Piegus stał za mną, dysząc mi w kark, zrobiłam krok do przodu, by się od niego odsunąć.

- Duchem? - Odpowiedziało widmo. Jego skóra miała dziwny odcień, jakby błękitnawy, głos brzmiał dziwnie, nienaturalnie, bardziej przypominał głos robota niż człowieka - miał chropawą, metaliczną barwę.

- Tak, duchem. - Kucnęłam, chcąc lepiej mu się przyjrzeć. Piegus natychmiast skrył się za mną.

- Co robisz? - Syknął mi w ucho. - Spływajmy stąd, Teo!

Miałam dziwne, ale bardzo silne wrażenie, jakby wewnątrz mnie siedziały dwie osoby, jedna chciała uciec, druga wołała zostać. Nogi wrosły mi w podłogę, zostałam - nie wiem, czy bardziej ze strachu czy z ciekawości. Skamieniałam. Słyszałam tylko bicie własnego serca i przyspieszony oddech Piegusa.

- Skąd się tu wziąłeś?

- Przybyłem z daleka. - Przechylił głowę na bok. - Z bardzo daleka. Ale zostanę tu przez jakiś czas. Polubiłem to miejsce. - Znowu ten uśmiech. - Mogę?

- Tak... chyba tak. Jeśli obiecasz, że nie zrobisz nic złego, ok?

- Dobrze. Obiecuję.

- Dobrze. - Usiadłam. - To Piegus, a ja jestem Teodora. Mieszkamy na stacji. Przyszliśmy tu, bo szukaliśmy duchów. Jesteś duchem?

- Duchem? Co to takiego?

- Mogę cię dotknąć?

- Możesz. - Wyciągnęłam rękę. Powoli. Ostrożnie dotknęłam ramienia obcego przybysza.

- Nie jesteś duchem. Gdybyś był, nie mogłabym cię dotknąć. Skąd się wziąłeś? Nie mogłeś tu mieszkać, ktoś by cię znalazł.

Piegus nagle złapał mnie za rękę, niemal o nim zapomniałam.

- Jesteś człowiekiem? - Nieznajomy spojrzał mi prosto w oczy.

- Jestem tym, czym chcecie, bym był.

- To ty zepsułeś roboty?

- Być może. Nie chciałem ich zepsuć. - Nagle zastygł w bezruchu, patrzył w górę pustym wzrokiem.

- Ty... Piegus, co mu jest? To jakiś atak?

- On się przemienia! W potwora! Zabije nas! - Wtedy dziwne dziecko znowu popatrzyło na nas.

- Muszę iść. Jestem zmęczony. Ale nie martwcie się, jeszcze się spotkamy.

Zniknął. Tak po prostu. Ja i Piegus najpierw zamarliśmy, jak wcześniej obcy, jakbyśmy zmienili się w jego odbicie. A potem uciekliśmy w panice, nie oglądając się nawet za siebie (jakiś ostatni przebłysk zdrowego rozsądku kazał mi zabrać latarkę, dzięki czemu nie porozbijaliśmy sobie głów). Wypadliśmy z korytarza, drzwi zamknęły się za nami. Nikogo. Żadnych obcych intruzów (ani, na szczęście, pracowników stacji), tylko my, zdyszani, spoceni, przestraszeni. Gdyby ktoś nas wtedy zobaczył, z pewnością pomyślałby, że zobaczyliśmy ducha.

Hulme patrzy na swoje odbicie w „stawie”.

- Zmieniłem się? Wyglądam inaczej.

- Tak. Chyba tak.

- Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?
- Trudno coś takiego zapomnieć. - Znowu milczymy, cisza wokoło, niesamowity spokój.
- Wiesz coś o mnie, prawda? Nautilus przesłał ci jakieś informacje?
- Tak. Przesłał. Rzeczywiście coś wiem... a raczej Nautilus coś wie, ja nie jestem naukowcem, nie znam się na tym wszystkim. Ale ufam mu całkowicie.
- Chciałbym zobaczyć te dane. Muszę zrozumieć, kim jestem. Dlaczego istnieję. Możesz wezwać statek?
- On nie musi...
- Wiem, że nie musi. Chciałbym go poznać.

Chyłkiem przemknęliśmy do naszych kwater. Żadne z nas nie zasnęło tamtej nocy. A to był dopiero początek dziwnych zdarzeń na stacji Euros.

Rano spotkałam Piegusa w drodze do szkoły. Piegus żywił niczym nie zmałowane przekonanie, że spotkaliśmy ducha, może nie ducha tragicznie zmarłego mechanika, ale jednak upiora, zjawę, jednym słowem: kogoś martwego, nawiedzającego żywych z sobie tylko znanych powodów. Ja miałam pewne wątpliwości.

- Sprawdziłam w Sieci. Na stacji nigdy nie zmarło dziecko.
- No i co z tego? Może umarł gdzieś indziej... Może...
- W takim razie, dlaczego straszysz akurat tutaj? To bez sensu!
- A kto to był, jeśli nie duch? Widziałaś, jak zniknął!
- Nie wiem. Ale nie musiał być duchem, tylko... no... czymś innym. Jak właściwie rozpoznać ducha? Duch przenika przez ściany, może nagle zniknąć albo gdzieś się pojawić... Co jeszcze?
- No, nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym...
- Właśnie. I skąd wiadomo, że inne istoty nie mogą zachowywać się jak duchy, choć nimi nie są? Może jakaś obca inteligencja próbuje nawiązać kontakt.
- Wow! Obcy?
- Może. Przekonamy się wkrótce. Powiedział, że wróci. Nie mogę się doczekać!
- No nie wiem. Duchy i kosmici są fajni w filmach...
- Boisz się?
- A ty nie?

- Nie. No może trochę. Ale pomyśl, jaka to będzie przygoda! Tylko nikomu nie wypalaj!

Hulme jest teraz wyższy ode mnie. Stoimy obok siebie, ramię w ramię, wpatrując się w niebo. Błysk. Rośnący kształt. Nautilus.

Łąduje przed nami, półprzezroczysty, mieniący się w świetle barwami tęczy, podobny do olbrzymiej bańki mydlanej.

Podchodzę do niego. Tęsknił za mną a ja za nim.

- Mówiłam, że nic mi nie będzie. Niepotrzebnie się tak martwiłeś. - Powłoka Nautilusa zafalowała lekko. Hulme podchodzi bliżej. On i statek łączą się, nie słyszę ich „rozmowy”, lecz się jej domyślam. Czekam na jej wynik. Trudno mi sobie wyobrazić, co musi teraz czuć Hulme.

- Teraz rozumiem. - Hulme w końcu przerywa ciszę. - Nie jestem połączony z Miastem. Ja jestem Miastem!

Przez trzy dni po tamtej pamiętnej nocy nic się nie działo. Nie odwiedzaliśmy zamkniętej części stacji, chyba potrzebowaliśmy czasu, żeby to wszystko przetrwać. Poza tym, zwyczajnie trochę się baliśmy. Nieraz idąc sama korytarzem, ukradkiem oglądałam się przez ramię, przyspieszałam kroku, chciałam być wśród ludzi, jednak żadne niezwykle wydarzenia nie mąciły naszego życia. Przez trzy dni, aż nadeszła tamta noc.

Nie wiem, czy obudził mnie jakiś hałas czy zły sen, może wystarczała sama jego obecność.

Otworzyłam oczy, usiadłam na łóżku. Zobaczyłam go od razu. Widziałam go wyraźnie pomimo panującej w pokoju ciemności, dzięki otaczającej go, błękitnej poświacie. Stał przy łóżku, patrzył na mnie, nic nie mówiąc. W pierwszym odruchu przestraszona zamknęłam oczy. Nie zniknął, kiedy je otworzyłam.

- Cześć. Co... co tu robisz?

- Przyszedłem do ciebie. Czułem się samotny.

- Samotny? Nie ma z tobą nikogo? Jesteś całkiem sam?

- Tam, skąd pochodzę, nie ma nikogo oprócz mnie. Nudzę się, nie mam z kim porozmawiać.

- Jesteś duchem?

- Co to jest duch?

- To... taka niematerialna zjawka. Widzisz ją i słyszysz, ale nie możesz dotknąć. I przechodzi przez ściany. Potrafisz przechodzić przez ściany?

- Niezupełnie. Po prostu pojawia się tam, gdzie chcę. Dla mnie to łatwe. Chcesz mnie dotknąć. - Ski-

nęłam głową, podszedł do mnie z wyciągniętą ręką. Dotknęłam go ostrożnie palcem. Poczułam zwyczajną ludzką skórę. Nic niezwykłego.

- Wow! No dobra, ale kim ty właściwie jesteś?

- Jestem Hulme. Przybyłem z daleka. Przypadkiem trafiłem na waszą stację.

- Podoba ci się?

- Chyba tak. Obserwuję was od jakiegoś czasu. Tu jest dość... interesująco. - Mówiąc to, uśmiechnął się. Dziwnie, nienaturalnie, jakby dopiero uczył się uśmiechać.

- Skąd się tu wziąłeś?

- Z bardzo odległego miejsca. Z Błękitnego Miasta.

- Co to jest Błękitne Miasto? Gdzie ono jest?

- Wiele lat świetlnych stąd. To mój dom.

- Skoro jest tak daleko, jak tu przyleciałeś? Masz jakiś supernapęd? Gdzie twój statek? Jak dostałeś się na stację?

- Czas, przestrzeń ani materia nie mają dla mnie znaczenia.

- Kim ty właściwie jesteś? - Popatrzył na mnie, ale wzrok znowu miał pusty, jak wtedy. Wypowiedział tylko jedno słowo. Hulme. I zniknął.

Zostałam sama w ciemności, nie zmrużyłam oka przez resztę nocy. Bo choć nikogo nie widziałam, wciąż czułam czyjąś obecność.

Odczytuję dane zebrane przez Nautilusa i zaczynam rozumieć. Hulme rzeczywiście jest Miastem, przynajmniej w pewnym sensie. Całe Błękitne Miasto to biliary współpracujących ze sobą, działających jak jeden organizm nanobotów. Nanobotów, które wytworzyły wspólną świadomość. Emanacją tej świadomości jest Hulme.

Hulme nie istnieje fizycznie. To, że go widzę, że mogę go dotknąć, to wynik oddziaływania Błękitnego Miasta na mój układ nerwowy.

- Ja też go widzę - pisze mi Nautilus, Miasto działa także na niego.

Hulme ogląda swoje dłonie, ramiona, nogi. Błękitne Miast zwiódło samo siebie, zaczęło postrzegać siebie tak, jak my je widzieliśmy, jako chłopca, a teraz poznaje prawdę o sobie.

Hulme, jakiego poznałam, tak naprawdę nigdy nie istniał. Choć, z drugiej strony, czy to, że jest jedynie skutkiem oddziaływania nanobotów z moim mózgiem, oznacza, że nie istnieje? Bo co to właściwie znaczy „istnieć”?

- Teraz rozumiem. - Hulme przerywa krępującą ciszę. - Ale nadal nie wiem, kto mnie stworzył, ani po co. I dlaczego zostałem sam.

- Według Nautilusa pod powierzchnią planety znajduje się komora, a w niej coś dużego. Może tam znajdziemy odpowiedzi?

Następnego dnia po wizycie Hulmego w moim pokoju spotkałam się z Piegusem w parku. Skryci w ustronnym miejscu wśród drzew i krzewów rozmawialiśmy szeptem: przerażeni a zarazem podekscytowani.

- Powiedział, że przyleciał z Błękitnego Miasta?

- Nie przyleciał statkiem, podróżuje w jakiś inny sposób. Czas, przestrzeń ani materia nie mają dla niego znaczenia. Może się pojawić, gdziekolwiek zechce, kiedy chce. Mówił, że obserwuje nas od dawna.

- Błękitne Miasto! Jesteś pewna, że tak powiedział? Błękitne Miasto?

- Tak, a co?

- Nigdy nie słyszałaś o Błękitnym Mieście? Serio?!

- Serio. Co to takiego?

- Nie wiem, jak mogłaś o tym nie słyszeć! To legenda! - Piegus pokręcił głową z politowaniem. - Pokażę ci.

Rozwinął ekran swojego komunikatora. Wszedł do Sieci.

Legenda o Błękitnym Mieście narodziła się około stu lat temu. Wtedy właśnie zaginął statek transportowy, wiozący części do budowanej właśnie stacji Euros, wraz z pięcioma inżynierami na pokładzie. Jeden z tej piątki został odnaleziony po kilku tygodniach, wycieńczony i na wpół obłąkany. Opowiadał o dziwnej planecie, samotnej, prawdopodobnie wyrzuconej z macierzystego układu. Jedyne, co na niej znaleźli, to opustoszałe miasto, emitujące jasną, błękitną poświatę. Nie pamiętał, jak długo się po nim błąkali. Cały czas mieli wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Na domiar złego, miasto nie było takim sobie zwykłym miastem. Ulice, którymi przeszli, znikwały, budynki zmieniały swój kształt oraz położenie. Zabłądzili. Miasto mamiło ich, zwodziło, prowadziło donikąd, drogami bez końca.

Z czasem uczucie bycia pod czyjąś obserwacją przerodziło się w coś więcej. Ktoś dostał się do ich umysłów, mieszał im w głowach, stopniowo doprowadzając do szaleństwa.

Tylko jedna osoba z załogi przeżyła, reszta zniknęła bez śladu. Ocalony nie pamiętał, co spotkało jego kolegów, ani jakim cudem sam przeżył. Tajemniczej planety nigdy nie odnaleziono.

Opowieść inżyniera krążyła po Sieci, niektórzy w nią wierzyli, inni wyśmiewali. Czy to możliwe, że po tylu latach ja i Piegus odnaleźliśmy dowód jej prawdziwości?

- Myślisz, że on tu jeszcze wróci? - Zapytał Piegus na poły z nadzieją, na poły ze strachem.

- Mam przecucie, że tak. Właściwie to jestem tego pewna.

I wrócił.

Idziemy we trójkę, Nautilus razem z nami - skurczył się nieco, by zmieścić się w wąskich korytarzach. Właściwie nie mogę powiedzieć, że idziemy, bo tak naprawdę porusza się droga - płynie pomiędzy górami, w które zamieniły się wieże. Wszystkie szczyty są jednakowe: dokładnie tej samej wysokości, tak samo lekko zaokrąglone, co trochę mnie niepokoi, choć nie jestem pewna, dlaczego.

Patrzę na Miasto zastygłe w bezruchu, w zupełnej ciszy, jakby martwe. Nawet nie wygląda już jak Miasto.

Hulme milczy, twarz ma nieprzeniknioną, nieruchomą. Przez chwilę chcę coś powiedzieć, zapytać, jak się czuje, ale ostatecznie nic nie mówię.

- To tutaj. - Hulme przerywa milczenie. Stajemy. Podłoże pod nami zaczyna lekko drżeć, fragment drogi razem z nami zjeżdża w głąb planety. Nad naszymi głowami widnieje jasnoblękitna plamka, coraz mniejsza, wkrótce znika, jednak w tunelu nie jest całkiem ciemno, panuje w nim półmrok. To jak w Alicji w Krainie Czarów - myślę sobie - Tylko królika brakuje. Hulme nie przypomina królika.

Nautilus łśni, analizuje dane. Mknijemy w dół. Ku nieznanemu. Nie mogę się doczekać, kiedy tam dotrzemy.

Jedną z zalet mieszkania na tak starej, niemal bezużytecznej stacji kosmicznej jak Euros była mała liczba dzieciaków w moim wieku. To znaczy, dla mnie to była zaleta, inni pewnie uznaliby brak rówieśników za wadę. Naprawdę cieszyłam się, że poznałam Piegusa, jednak wątpiłam w swą zdolność do nawiązania pozytywnych stosunków z więcej niż jedną osobą.

Dzięki temu, że mieszkało nas na stacji niedużo, mieliśmy dla siebie, Piegus i ja, mnóstwo miejsca do zabawy. Pewnego piątkowego wieczoru „graliśmy” w kosza, całe boisko tylko dla nas, pełna swoboda. Rzucaliśmy piłką do kosza, zmęczeni po całym tygodniu szkoły.

Hulme pojawił się, jak zawsze, znikąd, zupełnie nagle, ot, nie było go, a potem stał pod ścianą, spoglądając na nas w milczeniu, z tym swoim niepodobnym do ludzkiego uśmiechem. Rzucona przez Piegusa piłka ominęła kosz, spadła na podłogę, oddalił się od nas z cichym „stuk, stuk”, ale my zapomnieliśmy o piłce.

- Cześć - powiedziałam w końcu, bo coś chyba należało powiedzieć, nie można tak stać i gapić się na kogoś, prawda?

- Cześć - odpowiedział. Podeszedł do nas, po raz pierwszy widzieliśmy go w jasnym świetle: chudy, wręcz kościsty chłopak, skóra o lekko błękitnym odcieniu, nosił kombinezon, podobny do uniformów pracowników technicznych, który w ogóle do niego nie pasował.

Piegus zrobił krok do tyłu, głośno wciągnął powietrze. Ja stałam nieruchomo, jakbym wrosła w ziemię.

- Chcesz zagrać w kosza?

- W kosza?

- No, tak. Pokażę ci. - Pobiegłam po piłkę.

- Trzeba ją rzucić... o tam... i trafić do środka. O tak, popatrz. - Starannie wycelowałam, rzuciłam, trafiłam. Złapałam piłkę, rzuciłam Hulmemu, ale wyslizgnęła mu się z rąk.

- Może kiedy indziej. - Chwycił mnie mocno za rękę. - Ale mogę wam coś pokazać, jeśli chcecie.

Położyliśmy się na podłodze, trzymając za ręce.

Sala gimnastyczna zniknęła. Zniknęły też czas i przestrzeń, nie czułam już dłoni Hulmego i Piegusa, zapachu potu zmieszanego z kurzem, ani nawet własnego ciała.

Nagle ciemność rozjaśnił blask, który powinien porazić mi oczy, jednak mogłam patrzeć prosto w światło (czy w ogóle miałam wtedy oczy?).

Światło również zniknęło, zobaczyłam gwiazdy, otaczały mnie zewsząd, jak płatki śniegu nocą, w czasie zamieci.

Gwiazdy wkrótce zmieniły się w galaktyki, próbowałam je policzyć, ale nie dałam rady. Galaktyki były coraz mniejsze, coraz odleglejsze, teraz widziałam włókna jakby piany - włókna splecione ze sobą tworzyły gęstą sieć. Nie mogłam ogarnąć tej sieci wzrokiem, nie widziałam jej końca ani początku, a to była tylko część tego, co istnieje, zaledwie ułamek Wszechświata.

Poczułam zimno, przenikliwy chłód, zapach potu, kurzu, twardość podłogi. Światła w sali gimnastycznej zamrugały. Usiadłam powoli, obok siedział Piegus, drżąc na całym ciele.

- Co... co to było? Jak to zrobiłeś? - Hulme nie odpowiedział. Wstałam, czułam dziwną słabość w nogach, chłód na szczęście ustąpił. Chciałam jeszcze o coś spytać, miałam tyle pytań! Ale Hulme zniknął.

Od tamtego dnia Hulme pojawiał się niemal codziennie. Czekaliśmy na niego niecierpliwie (przynajmniej ja, Piegus chyba też). Nie poznaliśmy go ani trochę lepiej, wciąż nic o nim nie wiedzieliśmy, za to on zdawał się wiedzieć o nas wszystko. Powoli zmieniał nasze życie, otaczał je cienką, acz mocną powłoką tajemnicy, jak pająk owija swą siecią schwytaną muchę. Ta tajemnica odgradzała nas od świata, wszystko zmieniało swoje znaczenie, swoje miejsce w naszym świecie, choć, na pozór, pozostało takie samo. Czuliśmy to, Piegus i ja, pomimo młodego wieku, choć wtedy nie potrafiliśmy wyrazić tego słowami - może właśnie dlatego tak wsiąkliśmy w tę historię - jeżeli możesz coś opisać, trudniej cię opętać, zająć tobie, nie dajesz się ponieść wyobraźni, nie tak całkowicie, postępujesz według ściśle określonych zasad, ustalonych z góry procedur, masz władzę nad rzeczywistością (władzę kruchą, którą bezwzględna Natura łatwo może nam odebrać, ale jednak władzę). Podążasz przed siebie doskonale wytyczoną ścieżką. Ale my byliśmy dziećmi.

Idziemy ciasnym, wąskim tunelem, pierwszy - Hulme, ja i Nautilus za nim, podążamy w głąb planety prowadzeni przez coś, co po części jest iluzją, produktem naszej wyobraźni. Miasto jest we mnie, myślę

sobie, zna mnie, a ja jego nie, a mimo to mu ufam. W końcu Hulme jest w jakimś sensie częścią mnie - powstał, gdy Miasto napotkało mnie, byśmy mogli się porozumieć.

W tunelu jest ciemno, mój kombinezon świeci, dzięki temu widzę drogę. Nagle Hulme staje - droga się kończy. Przed nami olbrzymia komora - nie widać ani sklepienia ani dna, oba giną w ciemności. W samej komorze jest jaśniej niż w tunelu, próbuję znaleźć źródło światła, lecz nigdzie go nie dostrzegam.

- Już chyba niedaleko.

- Ciekawe, co tam jest - ostrożnie spoglądam w dół - ty wiesz?

- Nie wiem. nie ma tego w mojej pamięci, albo nie mogę się do tego dostać. To musi być starsze niż ja.

Nautilus pod pływa do mnie, wchodzę w niego, przelatujemy na drugą stronę, ponad przepaścią bez początku i końca.

Na drugim brzegu zarządzam krótką przerwę, muszę odpocząć. Siedzę oparta o Nautilusa, on i Hulme czekają na mnie cierpliwie.

- Opowiedz mi, jak spotkałaś Nautilusa.

- Przecież wiesz.

- Widzę to, ale niezbyt wyraźnie. Poza tym, lubię słuchać, jak mówisz.

Układam się wygodniej. Składniki odżywcze wnikają w moje ciało, czuję delikatne łaskotanie. Nautilus wibruje.

- To było na Plutonie. Pracowałam tam zaraz po studiach - oprowadzałam wycieczki. Nie cierpiałam tamtej roboty. Ci wszyscy ludzie idący za mną krok w krok, najgorsze były wycieczki szkolne. Nieznośne dzieciaki. Raz jeden omal nie uszkodził mojego robota!

Ciągle te same teksty, recytowane codziennie. To praca dla androidów, sama czułam się już po części maszyną, zaprogramowaną do wykonywania ściśle określonych czynności - ale większość turystów nie lubi przewodników - androidów, woli ludzi. Zabawne, nie? Wielokrotnie w historii omal nie doprowadziliśmy do naszej własnej zagłady, a jednak wciąż bardziej ufamy innym ludziom niż maszynom.

Miałam bardzo fajnego androida-asystenta, T-10, Teda. Wolałam spędzać czas z nim, niż z dwójką współpracowników. To nie byli źli ludzie, ale zakochali się w sobie, a ja... Nie jest przyjemnie być piątym kołem u wozu, nie? Wychodziłam więc razem z Tedem możliwie często. Android nigdy nie wpędzi cię w zakłopotanie. Ma taką przyjemnie nieludzką twarz, twarz-maskę, twarz manekina - żeby nie przerażać człowieka zbytym podobieństwem do jego twarzy. Bo człowiek to człowiek, a android to tylko robot!

Nieraz przemierzaliśmy wspólnie Płaskowyż Sputnika. Błąkaliśmy się w ciemności, otoczeni kręgiem światła z reflektora, wokół nas góry i doliny Plutona, miejsca nieźle poznane, jednak my omijaliśmy standardowe trasy, zapuszczając się na tereny niezbadane. Czasem mijały nas łąziki plutońskie, towarzyszyliśmy im niekiedy w wędrówce. Pewnego razu jechaliśmy za takim łązikiem, ja jechałam na Tedzie - potrafił się złożyć na pół, z nóg wysuwały się koła - całkiem wygodny pojazd. Łązik sunął przed siebie,

błyskając światełkami. Nagle za niewielkim wzniesieniem zobaczyliśmy światło, dosyć silne, kolorowe.

Wjechaliśmy w niewielkie zagłębienie terenu. To, co zobaczyliśmy, przypominało wielobarwną galarete.

Coś obcego. Nieznanego. Wzywało mnie, wiedziałam, w jakiś sposób, że to coś żywego. Zeszłam z Teda. Podeszłam do tego czegoś... a raczej kogoś.

Z boku galarety powstał otwór, wystarczająco duży, żebym mogła wejść do środka. Weszłam. usłyszałam głos... nie, właściwie nie głos, raczej myśli, tyle że nie moje. Zdjęłam skafander, nie potrzebowałam go.

Ja i Nautilus zrozumieliśmy się od razu, on szukał mnie a ja jego. Czytaliśmy w swoich myślach. Poznałam jego historię - żyjącego statku - i dzieje istot, które go stworzyły.

Ich cywilizacja była... niezwykła. Zamieszkivali jedną z bardzo odległych galaktyk. Hodowali żywe statki kosmiczne, w których podróżowali przez Wszechświat. Nagle zniknęli. Nie zostało nic, tylko spalona ziemia.

Istniała legenda o Niszczycielach Światów - mieli pochodzić z innego Wszechświata, przenikać do naszego, by niszczyć i zabijać, pozostawiając po sobie jedynie pustkę. Nautilus twierdzi, że to tylko legenda, nic więcej, nikt nie zdołał udowodnić istnienia innych Wszechświatów, a nawet gdyby istniały, jakikolwiek kontakt między nimi, byłby wykluczony.

Mój statek i jego pilot przebywali daleko od macierzystego świata. Uniknęli zagłady, ale zostali sami. Podróżowali przez stulecia tunelami czasoprzestrzennymi poprzez międzygalaktyczne pustki, aż w końcu pilot umarł.

To wszystko działo się, gdy przodkowie ludzi nie zeszli jeszcze z drzew. Miliony lat trwała samotna podróż Nautilusa. Aż, pewnego dnia spotkał mnie.

Statek nie może żyć bez pilota, a może raczej nie chce? Doskwiera mu samotność. Kiedy Nautilus wylądował na Plutonie, umierał. Ja dałam mu nowe życie. On zmienił moje. Już nie jestem tylko sobą, jestem też trochę nim... To brzmi dziwnie, prawda?

Poprosiłam Teda, żeby przesłał do biura moją rezygnację i odleciałam. Ted obserwował mój odlot. Sprawiał wrażenie smutnego, osamotnionego. Jak łatwo przenosimy na androidy nasze własne uczucia! To było miesiąc temu. Zaledwie miesiąc, a mam wrażenie, że podróżujemy razem od zawsze.

- To bardzo ciekawa opowieść.

- Dobrze, że cię zainteresowała. No, ok, odpoczęłam już, możemy ruszać. - I poszliśmy dalej ciemnym, wąskim korytarzem.

Spałam. Śnili mi się rodzice. Spędzaliśmy wakacje w małym domku pod miastem. To musiało być lato, bo zrobiło się upalnie, parno, skóra lepiła się nieprzyjemnie, powietrze paliło płuca, trawa wyschła, stwardniałe pędy sterczały z ziemi. Weszłam do sadzawki, dla ochłody, ulgi, odpoczynku od potwornego skwaru, jednak daremnie, słońce nagrzało płytki zbiornik.

Usiadłam na dnie. Patrzyłam na piasek, moje ręce, nogi - zniekształcone przez wodę. Pod wodą wszystko wygląda inaczej.

Mama i tata przyszli do mnie. Uśmiechnięci. Tata ochlapał mnie a ja jego.

Nagle w trawie pojawiło się jakieś stworzenie. Takie małe, czarne, podobne do jaszczurki, pęzało. Oczy miało czerwone, pozbawione źrenic. Próbowала ostrzec rodziców, wołałam, by uciekali, ale nie mogłam wydobyć głosu, tymczasem stworzenie urosło bardzo, połknęło ich, a potem zniknęło.

Obudziłam się, oddychając szybko. Przy moim łóżku stał Hulme.

- Co tu robisz?

- Nie chciałem cię przestraszyć. Proszę, nie bój się.

- Nie boję się ciebie. To... mój sen.

- Co to jest sen?

- No... jak śpisz, to widzisz różne rzeczy, zdarzenia, osoby. Twój mózg tworzy coś w rodzaju filmu. Ty nie masz snów?

- Nie. ja nie śpię. Co widziałaś? - Podeszedł do mnie, patrzył mi prosto w oczy. Miał dziwne nieruchome spojrzenie.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Widziałem o czym śniłaś.

- Czytasz w moich myślach?

- Oni odeszli. Umarli. Już ich nie ma. Co to znaczy? Co to znaczy „umrzeć”?

- Nie chcę o tym mówić! Nie chcę... Odejdź! Idź sobie! - Zatkałam uszy rękami, zamknęłam oczy, krzyczałam. Wpadłam w histerię.

- Teo? - Ktoś zapalił światło, usiadł obok mnie. Otworzyłam oczy. Ciotka Monika siedziała na moim łóżku, Hulme zniknął.

- Dlaczego krzyczałaś? Coś ci się śniło? - Płakałam, byłam roztrzęsiona.

- Mama... Tata...

- Rozumiem. No, już dobrze. - Ciotka objęła mnie, trochę niezręcznie.

- Pewnie ci ciężko, co? Tęsknisz za nimi. Wiem. Chcesz o tym... pogadać?

- Nie wiem... może... nie teraz - wykrztusiłam.

- Dobra, jasne. Może chcesz pójść do psychologa? Podobno jest w porządku. Bardzo profesjonalny. - Po-

kręciłam głową. Ciotka nie naciskała. Siedziała przy mnie, aż się uspokoiłam i zasnęłam.

Następnego dnia ciotka nie wracała do tego, co stało się w nocy. Zjadłyśmy razem śniadanie, a potem wyszłyśmy, ja do szkoły, ciotka do laboratorium, życząc sobie nawzajem miłego dnia. Dzień jak każdy. A jednak było inaczej. Po raz pierwszy zobaczyłam w ciotce człowieka.

Pamiętam tamten dzień bardzo dokładnie, jakby wcale nie minęło kilkanaście lat, a kilka dni co najwyżej, pamiętam, że na śniadanie jadłam jajecznicę, Osa - matematyczka, była jeszcze bardziej kąśliwa niż zwykle.

Tamtego dnia wiele rzeczy uległo zmianie. Hulme przestał być tajemnicą dwójki dzieciaków. Nawiązał kontakt z Agnieszką.

Pracowała wtedy w laboratorium technicznym. Sama. Nagle usłyszała głos.

- Cześć. Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego ludzie umierają?

Agnieszka, lekko zaskoczona, nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć. I skąd się wziął ten dzieciak? Nikt, poza personelem, nie miał prawa przebywać w tej części stacji. W dodatku intruz wydał jej się zupełnie obcy, a przecież znała dzieci współpracowników. Mniej więcej.

- No... z różnych powodów. Chorują, mają wypadki... Większość ze starości.

- Ale co to znaczy „umrzeć”? Jak to jest: nie żyć? Czy ten, kto umarł, przestaje istnieć? Jest jak uszkodzona maszyna, której nie można naprawić i usuwa się ją - jak to robicie z niedającymi się już naprawić robotami?

- Ja... nie wiem. Przykro mi... Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytania.

- Więc wy ludzie nawet nie wiecie ku czemu zmierzacie, czym jest wasz kres? Przeszukałem wasze bazy danych, ale nigdzie nie znalazłem jednoznacznej odpowiedzi, raczej wiele przypuszczeń. Dręczy mnie to od jakiegoś czasu, sam nie wiem, czy mnie czeka to samo, co was? A może będzie ze mną całkiem inaczej? Muszę szukać dalej. Dziękuję ci. - I zniknął.

Tak opowiedziała nam to później Agnieszka (a raczej nie tyle nam, co ciotce Monice, ja je tylko podsłuchałam). Najpierw nie wiedziała, co powinna zrobić. Sprawdziła, jakie formy życia przebywają na stacji - nic podejrzanego, tylko ludzie.

Iść do lekarza?

Przypadki zaburzeń psychicznych u osób długo przebywających w przestrzeni kosmicznej nie były wcale takie rzadkie.

A może wystarczy długi urlop na Ziemi?

A jeżeli to trwały obłęd?

Potem Hulmego widział jeden z botaników, laborant, pielęgniarka... Spotkań przybywało, ludzie zaczęli o nich mówić, z początku trwożliwie, nieśmiało, z obawą, by nie uznano ich za szalonych - później

lawina ruszyła, zasypała stację plotkami, szeptami, niedomówieniami i tajemnicami. Atmosfera zgęstniała, wszyscy przemykali korytarzami zerkając za siebie, dzieciom nie pozwalano bawić się bez opieki dorosłych. Ja i Piegus czuliśmy się wyjątkowo osamotnieni, wiedzieliśmy wcześniej niż inni, że coś dziwnego zamieszkało na stacji, mieliśmy sekret, sekret, nad którym straciliśmy kontrolę. Nie wiem teraz, dlaczego wówczas milczeliśmy. Być może ze strachu?

Wkrótce przybyli na Euros specjaliści z Ziemi, chodzili po stacji ze smutnymi minami, kręcąc głowami, udając mądrzejszych niż w rzeczywistości. Napisali raport, wysłali go na Ziemię, po czym orzekli, że stację należy zamknąć.

Musieliśmy opuścić nasz dom, nasze miejsce w kosmosie i odlecieć, by znaleźć sobie nowe. Wszak w kosmosie nie brakuje przestrzeni.

Tak zakończyła się dla nas ta historia, przygoda, ledwie się rozpoczęła. Ja i Piegus opuściliśmy tę opowieść, choć mieliśmy być głównymi bohaterami - życie jednak rzadko przypomina film albo książkę, nie ma w nim za wiele logiki czy celu, przynajmniej tak się zdaje.

Odlecieliśmy z Euros, do końca nie ujawniając naszego udziału w całej aferze.

Hulme nie przyszedł się pożegnać. Czekałam na niego do ostatniego poranka - po śniadaniu należało szybko opuścić kwaterę.

Odlatując, patrzyłam na stację, coraz mniejszą i mniejszą, aż włączono napęd przestrzenny - widziałam już tylko gwiazdy, mijane w szaleńczym pędzie, gwiazdy przypominające śnieżną zamieć.

Nigdy więcej nie spotkałam Piegusa, razem z ciotką Moniką wędrowaliśmy po koloniach, ciotka często zmieniała miejsce pracy. Żadna planeta w zamieszkałym kosmosie nie została moim domem, każda była tylko przystankiem w podróży.

Piegus zamieszkał z rodzicami na Ziemi, przez jakiś czas wysyłaliśmy sobie wiadomości, jednak szybko straciliśmy kontakt.

Raz spotkałam Agnieszkę, niewiele się zmieniła, pracowała na Marsie, naprawiając zepsute roboty.

Po latach niemal zapomniałam o Hulmem, Piegusie, stacji Euros. Aż pewnego dnia spotkałam Nautilusa. Przyśnił mi się Hulme. Odnalazłam Błękitne Miasto. Wszystko wróciło.

Powoli posuwamy się do przodu, milcząc, nasłuchując, jednak nie dobiegają nas żadne odgłosy. Idę za Nautilusem, Hulme obok mnie, a może we mnie?

Nie powstał, aby komunikować się z ludźmi, nasze umysły nie są całkowicie kompatybilne. A jednak zdołał wejść do mojego mózgu, jest, w pewnym sensie, częścią mnie, ja i inni mieszkańcy stacji Euros byliśmy jego wzorcem, powstał na nasz obraz i podobieństwo, stworzyliśmy go - przez przypadek, dzięki zbiegowi okoliczności, przez samą naszą obecność.

Przez lata nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego istnienia, a on był tak długo blisko nas.

Teraz idziemy tunelami wydrążonymi, kto wie jak dawno temu. Kim były te istoty, obcy, którzy stworzyli Błękitne Miasto, czytające w ich umysłach, znające ich najskrytsze zamierzenia i sekrety? Dlaczego nie przybyli? Czy jeszcze istnieją?

Hulme, przez długi kontakt z ludźmi, stracił podobieństwo do swoich stwórców.

Wciąż się zmienia pod wpływem mojego umysłu, jego rysy łagodnieją, nawet chodzi jakoś inaczej.

Korytarz ciągnie się, jakby nie miał końca. Ściany są idealnie gładkie, nie dostrzegam najmniejszych nawet nierówności.

I nagle koniec drogi. wchodzimy do ogromnego pomieszczenia.

- To tu - informuje Nautilus. - Dotarliśmy do Komputera Centralnego.

Znajdujemy się w bardzo dużej, okrągłej sali, średnica wynosi na oko jakieś sto metrów. Patrząc w górę, nie widzę sklepienia. Jest jasno, choć nie dostrzegam żadnego źródła światła. Błękitna poświata, taka jak na powierzchni.

Ściany pokryte prostokątami. Ekrany? Niektóre z nich są pęknięte.

- Tu pewnie mieści się cała twoja pamięć - słyszę głos Nautilusa - cała wiedza o tobie, twoich twórcach, tej planecie.

- Komputer jest uszkodzony. Sądźysz, że dane można odzyskać?

- Nie wiem.

- Nie wiedziałem o tym miejscu - powiedział Hulme - Potrzebowałem was, aby tu dotrzeć. Przebudziłem się i kształtowałem w oderwaniu od swojej historii, swojego przeznaczenia, pod wpływem ludzi.

- Ciekawe, co stało się z twoimi twórcami? - wtrącam się do rozmowy - Spotkała ich jakaś katastrofa? Zniszczenie cywilizacji? A może nie przylecieli, bo twoja planeta została wyrzucona z macierzystego układu, a nawet oni potrzebują energii gwiazdy? Ktoś tego nie przewidział, popełnił błąd? Ciebie spisano na straty? A może ciebie miało nie być, może twoje przebudzenie to przypadek? Kolejna nieprzewidziana okoliczność? Stworzyli cię dla kaprysu, jeśli w ogóle mieli jakieś kaprysy? Jesteś jedyny czy raczej powstałeś jako jedno z wielu Miast?

- To tylko przypuszczenia, Teodoro. Chyba ponosi cię fantazja. - Nautilus przerywa moje rozważania.

- Wszystko wydaje się możliwe, kiedy brakuje informacji - stwierdził Hulme.

- Moglibyśmy spróbować uruchomić komputer i odzyskać dane, jeśli byś mi pomógł, Hulme. Choć wątpię, żeby to było możliwe, uszkodzenia wydają się zbyt duże. Ale warto spróbować. Dla spokoju sumienia.

- Spróbujmy więc.

Nautilus zmienia kolor na ciemnoczerwony, z jego wnętrza dochodzi cichy szum. Hulme znika, ale wiem,

że wciąż tu jest. Czekam chodząc po pomieszczeniu, patrzę na zniszczony komputer obcych. Czas mija zbyt wolno, jakby stał w miejscu.

Wreszcie Nautilus wraca do swej zwykłej „tęczowości”, znowu widzę Hulmego. Jest przygnębiony, zrezygnowany. Niedobrze.

- Nie udało się, prawda?

- Niestety, tak jak przypuszczałem uszkodzenia są za duże. Komputer jest całkowicie bezużyteczny.

- Co teraz zrobisz, Hulme?

- A wy? Odleciecie? - Nie odpowiadam od razu. Właściwie nie muszę odlatywać. Dzięki Nautilusowi mogłabym zostać. Tu mógłby być mój dom. Nasz dom. Od czasu do czasu krótka wycieczka i powrót do Błękitnego Miasta.

- Nie musisz zostawać. Czuję twoje współczucie, jestem ci wdzięczny. Ale to ja odlecę.

- Odleczisz? Możesz to zrobić?

- Oczywiście. Mogę nie tylko tworzyć tunele czasoprzestrzenne i oddziaływać telepatycznie. Miasto może fizycznie opuścić tę planetę. Dość już czekałem. Oni, kimkolwiek są, nie przylecą. Będę podróżował, może ich znajdę. A może nie. Będę szukał. Chcę poznać swój początek. I być może koniec.

Podróżowałam z Nautilusem już od miesiąca. Poznawaliśmy nowe układy planetarne, nowe gwiazdy. Mgławice. Gwiazdne żłobki oraz pozostałości gwiazd dawno umarłych, których śmierć dawała początek narodzinom kolejnych. Obserwowaliśmy supernowe. Szukaliśmy życia.

Uczyliśmy się siebie nawzajem. Zaglądaliśmy w swoje umysły. Nie zrozumieliśmy się nigdy tak do końca, zawsze będziemy dla siebie tajemnicą. Ale Nautilus powstał, by badać tajemnice. A człowiek? Po co żyje człowiek? Czy jednym z jego celów nie jest to samo - poznawanie Tajemnicy? Być może. Powstał przecież z pyłu - tego samego, który tworzy planety, komety, asteroidy, z materii wyprodukowanej przez gwiazdy w ciągu miliardów lat kosmicznej ewolucji. Jesteśmy częścią kosmosu, częścią Tajemnicy. Badając Wszechświat, badamy samych siebie, źródło naszego istnienia - a jednym z najważniejszych pytań, jakie sobie stawiamy od dnia, gdy już potrafimy rozpoznać siebie w lustrze (to musi być szok: patrzysz w lustro i myślisz „to ja!”), brzmi: „Kim ja właściwie jestem?”

Spaliśmy. Oglądaliśmy swoje sny - mieszały się, jak farby zmieszane pędzlem na palecie. Wtedy przyśnił mi się Hulme. Powiedział: „Przyjdź do mnie. Zaprowadzę cię.” I zaprowadził. Otworzył tunel czasoprzestrzenny.

Ja i Nautilus widzieliśmy swoje lęki, niepewność, ciekawość. Ruszyliśmy. Znaleźliśmy się na orbicie samotnej, błękitnej planety. Odnaleźliśmy Hulmego.

Kilka godzin później znów jestem na powierzchni. Wchodzę w Nautilusa. Znów jesteśmy razem.

Wznosimy się. Ponownie patrzymy na Miasto z góry.

Orbitujemy wokół planety. Czekamy na odlot.

Wtedy dzieje się coś niezwykłego. Od planety odrywa się chmura - coraz większa. Wkrótce przypomina ogon komety. Obserwujemy godzinami. Planeta powoli gaśnie, obłok błękitnej materii ma już miliony kilometrów. Znika nagle w rozbłysku światła. I nie zostało już nic, tylko ja, Nautilus i ciemna, opuszczona planeta. Gwiazdy wokoło. Wiele jest gwiazd w Drodze Mlecznej, prawda?

Cicho tu. Spokój. Powiedziałabyś - wieczność. Ale to wszystko przeminie za miliardy lat. A ja jestem tylko błyskiem świadomości w ogromie cichej czasoprzestrzeni. Tylko iskrą.

- Jakie to wszystko wielkie, Nautilusie!

- Wiem. Przemierzyłem wiele galaktyk, zanim dotarłem tutaj.

- Myślisz, że Hulme znajdzie swoich twórców?

- Nie wiem. Może tak. Może nie. A może to nie ma znaczenia? Możliwe, że szukając twórców, znajdzie coś innego.

- Chciałabym, żeby ich odnalazł. Jest bardzo samotny.

- A kto nie jest samotny? Też byłem całkiem sam, zanim cię odnalazłem. Teraz możemy być samotni we dwoje. Poza tym, czy znalezienie twórców na pewno dałoby Hulmemu szczęście? Czy naprawdę tego potrzebuje?

- Nie wiem, czy dałoby mu szczęście, ale przyniosłoby odpowiedź na ważne dla niego pytania.

- Albo zrodziłoby tylko jeszcze więcej pytań. A ty? Nie chciałabyś wrócić do domu?

- Nie wiem, gdzie jest mój dom. Urodziłam się na Ziemi, studiowałam na Marsie, pracowałam na Plutonie. Poza tym, już nie chcę żyć bez ciebie. Jesteś w mojej głowie. A ludzie zabraliby mi ciebie, gdybyśmy pojawili się w którejś ziemskiej kolonii.

- Do tej pory widzieliśmy niewiele. Możemy zobaczyć więcej. Powstałem, żeby badać, eksplorować. Poznawać.

- Ja chyba też. - Jeszcze raz spojrzałam na gwiazdy. - Ruszajmy więc.

Odlatujemy. Znikamy, wyłonimy się w zupełnie innym zakątku kosmosu. Mknijemy ku nieznanemu, aby to poznać, zrozumieć. Nie wiemy, co napotkamy. Przez chwilę myślę o Agnieszce, ciotce Monice, Piegusie. Kiedyś ich odnajdę, o wszystkim im opowiem. Pewnego dnia. Na razie jednak, moja wędrówka wciąż trwa. Ja i Nautilus mknijemy przez kosmos.

Czas ani przestrzeń nie mają dla nas znaczenia.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

JoannaP, dodano 06.02.2020 08:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.